Gordon R. Dickson

Obcy

(The Stranger)

Imagination, May 1952
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Nie będziemy nawet próbowali formalnie obliczać prawdopodobieństwa odnalezienia przez nich obcego statku, ale faktem jest, że prawdopodobieństwo to było praktycznie zerowe.

Wylądowali, aby dać odpocząć silnikom, na jakiejś nienazwanej planecie mało znanej gwiazdy w Gromadzie Jeleniego Rogu. Ponieważ byli zmęczeni tygodniami spędzonymi w kosmosie, lądowali bez wcześniejszego rozpoznania. Okrążyli planetę tylko raz i zeszli po spirali na powierzchnię, na łachę otwartego piachu pomiędzy dwiema skalnymi ścianami. Dopiero wtedy zauważyli drugi statek.

Jeff Wadley siedział za sterami i kiedy go zobaczył, oczy lekko mu się rozszerzyły. Ale jego dłonie na sterach nawet nie drgnęły, ponieważ statek kosmiczny głębokiego kosmosu, nie należy do pojazdów pozwalających na zmianę zamiarów odnośnie lądowania, na wysokości zaledwie niecałe pół mili ponad powierzchnią. Posadził gładko *Szmaragdową Dziewczynę* na ziemi, nawet nie pięćset stóp od obcego. Potem aż usiadł z wrażenia w swoim fotelu.

— Tato — rzucił stanowczo do interkomu, — obróć wieżyczkę!

Peter Wadley, siedzący na górze w kajucie z przyrządami, sam już zauważył obcy statek i ciężkie, podwójne lufy działek automatycznych opuściły się, kierując się w jego stronę.

— *Podaj swoją identyfikację*! — Zwarta wiązka we Wspólnym Kodzie przemknęła ponad niewielkim kawałkiem otwartej, pokrytej piachem przestrzeni zmierzając do skalnej ściany, do której tamten zdawał się tulić. — Tu mówi statek górniczy *Szmaragdowa Dziewczyna*, na licencji ziemskiej, pięćset osiemdziesiąt dwa dni od wylotu ze Stacji Arktur. — *Podaj swoją identyfikację*!

Za plecami Jeffa rozległy się kroki i za napiętym do granic możliwości synem, stanął Peter Wadley.

— Odpowiedzieli, Jeff?

— Nie.

— *Podaj swoją identyfikację*! *Podaj swoją identyfikację*! *Podaj swoją identyfikację*!

Gniewne żądania przelatywały łukiem ponad przestrzenią dzielącą obydwa statki. Odpowiedzi jednak nie było.

Jeff odwrócił się od komunikatora. Nadgarstki miał wilgotne, otarł je więc o materiał bryczesów.

— Zabierajmy się stąd — powiedział nerwowym tonem.

— I zostawimy, *to*? — szczupły palec wskazujący jego ojca wycelowany był w dziwny, milczący statek.

— A czemu nie? — Jeff szarpnął głową w górę. — Nie jesteśmy zespołem ratowniczym, ani rządową jednostką eksploracyjną.

Narosła między nimi chwila napięcia. Twarz starszego z mężczyzn stężała.

— Lepiej do niego zajrzyjmy — zaproponował.

— Zwariowałeś? — wybuchnął Jeff. — Był tu, kiedy przylecieliśmy. Zostanie, kiedy wystartujemy. Po prostu lećmy dalej. Możemy o nim zameldować, jeśli chcesz. Niech statki Federalne zbadają sprawę.

— Może on dopiero co wylądował — stanowczo stwierdził jego ojciec. — Może ma jakieś kłopoty.

— I co, jeśli tak jest? — upierał się Jeff. — Zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy tutaj jak na patelni? A co ty sobie wyobrażasz, że to jest samochodzik cioci Mani? Popatrz tylko na niego!

I gwałtownym ruchem dłoni, pokręcił powiększenie ekranu wizyjnego, tak że obcy statek zdawał się teraz przewyższać otaczające ich skalne ściany.

To był niepotrzebny gest. Nie było wątpliwości, że kształty tego statku są obce i niepodobne do niczego, co wcześniej widzieli. Był wielki; nie dziwacznie wielki, ale większy niż *Szmaragdowa Dziewczyna*; miał bulwiaste kształty, z większością masy na przedzie. Nie było widać żadnych śladów włazów, śluz powietrznych, czy nawet krótkich grubych płetw ogonowych, wystających z kadłuba pod kątem mniej więcej trzydziestu stopni.

Z milczenia i bezruchu stojącego przed nimi statku, z jego dziwnych nieludzkich kształtów, promieniowała zimna atmosfera obcości, która zdawała się wylewać na zewnątrz, mrożąc obu obserwujących go ludzi.

— No, i? — spytał wyzywająco Jeff. Ale starszy mężczyzna nie słuchał go.

— Kamera radarowa — powiedział, na wpół sam do siebie.

Odwrócił się pośpiesznie i wyszedł. Jeff siedział w napięciu w swym fotelu, słuchał jak kroki jego ojca cichną w oddali, zastąpione w kilka sekund później dobiegającymi z dalszych pomieszczeń przytłumionymi odgłosami człowieka naciągającego na siebie skafander kosmiczny. Jeff zaklął, zerwał się na nogi i pobiegł do śluzy. Ojciec, z leżącą pod nogami kamerą radarową, był już na wpół ubrany do wyjścia ze statku.

— Chyba nie wyjdziesz na zewnątrz? — spytał z niedowierzaniem Jeff.

Starszy z mężczyzn skinął w odpowiedzi głową i zaczął nakładać na głowę szklaną kulę hełmu. Twarz Jeffa wykręciła się w niepokoju.

— Nie pozwolę ci! — na wpół wykrzyczał. — Ryzykujesz życiem, a ja nie dam rady nawigować statkiem bez ciebie.

Trzymając hełm w ręku, jego ojciec przerwał ubieranie się, głębokie linie na twarzy zesztywniały mu na kamień.

— Ciągle to ja jestem panem tego statku! — powiedział krótko. — Obcy, czy nie, tamten statek może potrzebować pomocy. Na mocy prawa kosmicznego, jestem zobowiązany mu jej udzielić. Jeśli jesteś zaniepokojony, osłaniaj mnie z wieżyczki działkami. — Opuścił hełm na głowę, odcinając Jeffowi dalsze możliwości dalszego protestu.

Gotując się zarówno z gniewu jak i strachu, Jeff odwrócił się gwałtownie i pośpiesznie wspiął się do wieżyczki z działkami. Bliźniacze

lufy działek były już nakierowane na cel, który widoczny był na ekranie celownika, razem z obszarem między obydwoma statkami i kawałkiem śluzy powietrznej *Szmaragdowej Dziewczyny*, wystającym z jej burty. Jeff przyglądał się jak zewnętrzny właz otwiera się na pełną szerokość i szara postać w skafandrze kosmicznym pędzi ze wszystkich sił pod ochronę dziobu. Bieg trwał nie więcej niż pięć sekund, ale Jeffowi wydawało się że jego ojcu dotarcie do bezpiecznego miejsca zabrało całą wieczność.

Sięgnął po mikrofon na burcie statku i przyciągnął go do siebie.

— W porządku, tato? — pomimo wszelkich wysiłków, głos Jeffa był ciągle najeżony gniewem.

— Świetnie, Jeff — głos jego ojca wrócił już do niewzruszonych tonów. — Mam dobrą osłonę i mogę zrobić świetne, czyste zdjęcia każdej jego części.

— Powiadom mnie, kiedy będziesz gotów ruszyć z powrotem — powiedział Jeff i odepchnął od siebie mikrofon.

Usiadł w fotelu i zapalił papierosa, ale jego oczy bez przerwy obserwowały obcy statek, tak jak człowiek mógłby obserwować niewypał bomby, który nie został jeszcze rozbrojony. Po chwili zauważył, że trzęsą mu się palce i odłożył uważnie papierosa do popielniczki.

Kiedy wróci, pomyślał Jeff, wtedy będzie na to czas. Musimy tę sprawę raz na zawsze załatwić. On staje się kimś w rodzaju fanatyka religijnego, i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Jak człowiek, który był dosłownie wszędzie i przez tak wiele lat oglądał najgorsze strony pięćdziesięciu różnych ras, może myśleć o nich wszystkich jak o najukochańszych ludzkich dzieciach. Nie wiem. Ale, niezależnie od tego czy wiem to czy nie, to ryzykanctwo musi się kiedyś skończyć. I teraz jest najlepsza na to chwila. Kiedy wróci – jeżeli wróci, zaraz startujemy. A jeśli nie wróci… Wysadzę tych krwiożerczych bękartów w powietrze, tak że nie zostanie z nich ani jeden cały kawałeczek…

— Wracam na statek, Jeff — przerwał mu głos ojca w głośniku.

Jeff pochylił się do przodu, z rękoma spoczywającymi przez cały czas na spustach działek; mała szara postać nagle pomknęła z powrotem, po kilku chwilach skryła się bezpiecznie we wnętrzu śluzy, której właz zamknął się za nią z głuchym trzaskiem. Potem wziął głęboki oddech, wstał i otarł pot z czoła. Zszedł na dół, do kajuty z przyrządami.

Peter Wadley zdjął już z siebie skafander i wywoływał filmy. Jeff wziął je natychmiast do ręki, kiedy tylko zeszły z rolki, wilgotne i miękkie w dotyku.

— Nie da się zbyt wiele powiedzieć — stwierdził, trzymając je w górze, pod światło.

— Jest spory margines nakładania się — odparł jego ojciec. — Musimy je poobcinać i podopasowywać do siebie poszczególne kawałki, jak przy układance. Czekaj, zaraz tam przyjdę.

Przez mniej więcej pięć minut, z rolki ciągle schodziły nowe filmy. Potem Peter przyniósł parę nożyczek i ułożył zdjęcia we właściwej kolejności.

— Zrób miejsce na stole — powiedział Jeffowi — a potem dopasowuj je do siebie, w miarę jak będę ci je podawał.

Przez dłuższą chwilę pracowali w ciszy. Potem Peter odłożył trzymane w ręku nożyczki.

— Skończone — oznajmił. — No to zobaczmy, co my tutaj mamy?

— Nie wiem — odparł Jeff z oszołomieniem w głosie. — Nie wygląda to na coś, co bym kiedykolwiek widział już wcześniej.

Peter podszedł do stołu i popatrzył wyćwiczonymi przez lata odczytów formacji skalnych oczyma, na leżące przed nim pełne cieni filmy. Pokręcił głową.

— To wygląda bardzo dziwnie — powiedział w końcu.

— Widzisz to samo co ja? — dopytywał się Jeff. — Nie widać tam żadnego statku kosmicznego. Tylko w tym jednym miejscu, tak prawdę mówiąc… — wskazał je palcem. — Jest tu coś, tak z grubsza wielkości solidnej szafy. I niespecjalnie można się tam doszukać czegokolwiek poza tym – z wyjątkiem korytarzy mniej więcej dwudziestocalowej średnicy – biegnącymi z tego miejsca, do punktów porozrzucanych po całym statku. Musiałaby tym latać załoga krasnoludków.

— Krasnoludków — powtórzył starszy mężczyzna w zamyśleniu. — Nigdy nie słyszałem o inteligentnej rasie o tak niewielkich rozmiarach.

— A więc ci tutaj, są czymś zupełnie nowym — odparł Jeff, wzruszając ramionami.

— Nie — oznajmił jego ojciec, powoli cedząc słowa. — Nie pamiętam już kiedy, ani gdzie, ale słyszałem, że istnieją absolutnie pewne powody, dla których nie może istnieć inteligentna rasa mniejsza od psa pokaźnych rozmiarów. Ma to coś wspólnego z faktem, że istoty te musiałyby zwiększać swe rozmiary w miarę jak rozwijająca się inteligencja, dawałaby im coraz większą przewagę ponad konkurentami w środowisku.

— Tu mamy jasne dowody — odparł Jeff, stukając w film palcem wskazującym.

— Nie — Pete ponownie pochylił się nad zdjęciem z poskładanych kawałków. — Spójrz na te obiekty w korytarzu. To, ewidentnie, są urządzenia sterujące.

Jeff przyjrzał się wskazanemu miejscu.

— Widzę o co ci chodzi — w końcu powiedział. — Jeżeli istnieje jakiekolwiek podobieństwo między ich układami mechanicznymi a naszymi, te urządzenia sterujące zbudowane są dla kogoś całkiem sporego. Ale popatrz, jak one są porozrzucane po całym statku. Mamy tutaj dobre piętnaście, może nawet dwadzieścia różnych grup przyrządów i innych rzeczy. To wskazuje na znaczną liczebność załogi; a po prostu nie da się zmieścić tak wielu załogantów o dużych rozmiarach w tych małych korytarzach.

— W sumie jest tam sporo miejsca — zaczął Pete. Potem nagle przez cały statek przebiegł lekki wstrząs. Jeff skoczył do monitora, a jego ojciec przesunął się, aby stanąć tuż za jego plecami.

— Dobry Boże — wykrztusił Jeff, — popatrz tylko na niego.

Drugi statek nagle się zatrząsł i zatoczył lekko na bok. Jakiś niewidoczny środek ciężkości ściągnął go z powrotem do pozycji wyjściowej. Zawahał się na moment i spróbował ponownie, z takimi samymi skutkami. Zamarł w bezruchu.

Jeff rzucił się do bębna z wykresem promieniowania.

— Co tam jest? — spytał Peter.

Jeff pokręcił ze zdumieniem głową.

— Nic — odpowiedział. — Po prostu, zupełnie nic.

— Nic?

Peter podszedł, aby samemu rzucić okiem na wykres. Było dokładnie tak jak powiedział Jeff. Linia wykreślona na białej powierzchni taśmy, biegła prosto i bez żadnych śladów zakłóceń.

— Ale, przecież to niemożliwe — zmarszczył brwi Peter.

Obaj mężczyźni odwrócili się z powrotem do ekranu. Kiedy na niego spojrzeli, zobaczyli że dziwnym statkiem targnął jeszcze jeden, ostatni wstrząs, a następnie spoczął on nieruchomo, jak wyrzucony na plażę wieloryb, któremu zabrakło nadziei na uwolnienie się.

— Mój Boże! — stwierdził Pete i Jeff popatrzył na niego ze zdziwieniem. Było to najbliższe przekleństwu stwierdzenie, jakie padło z ust jego ojca w czasie ostatnich dwudziestu lat. — Jeff, wiesz co ja myślę? Myślę, że ten statek obsadzony jest wyłącznie przez jedno wielkie stworzenie – podobne do gigantycznej kałamarnicy. To dlatego nie zarejestrowaliśmy żadnego promieniowania. Ono próbuje przesunąć swój statek, korzystając wyłącznie z siły mięśni.

Jeff wpatrywał się w swojego ojca.

— Chyba zwariowałeś — zdołał tylko wykrztusić. — Przecież stworzenie na tyle duże aby wstrząsnąć tym statkiem, musiałoby wypełniać każdy cal przestrzeni w środku. W taki sposób nie da się żyć w statku kosmicznym.

— To prawda — odparł Pete.

Zacisnął z ekscytacją dłoń na ramieniu Jeffa i pociągnął go z powrotem do układanki na stole.

— Jeśli mam rację — wyjaśnił — nie jest to statek w sensie, w jakim my rozumiemy to słowo, lecz coś w rodzaju przeznaczonego do lotów w kosmosie skafandra, dla czegoś strasznie wielkiego. Czegoś w rodzaju gigantycznej kałamarnicy, tak jak mówiłem, albo jakiegoś innego stwora o długich mackach. Jego ciało znajduje się tutaj – w tym miejscu, które jak mówiłeś ma rozmiary mniej więcej szafy – a macki, czy cokolwiek to jest, sięgają przez te korytarze do różnych grup przyrządów.

Jeff zmarszczył brwi.

— To brzmi sensownie — wymamrotał. — A w takim wypadku, ten stwór nie byłby w stanie wyjść na zewnątrz swojego statku, żeby coś naprawić, gdyby cokolwiek poszło nie tak. A, wydaje mi się, że coś musi być nie tak, inaczej nie miotałby się tak po całym pokładzie.

— Jeff — oznajmił Pete, — wychodzę na zewnątrz, żeby mu się lepiej przypatrzeć.

Głowa Jeffa podskoczyła ostro w górę sponad układanki. Stary, skręcający wnętrzności strach, powrócił. Wezbrał w nim jak fala.

— Po co? — zaczął się szorstko dopytywać.

— Żeby zobaczyć, czy nie uda mi się odkryć, co jest nie tak z jego statkiem — rzucił Pete przez ramię, wchodząc już do śluzy powietrznej. — Idziesz ze mną?

— Poczekaj! — zawołał Jeff.

Poderwał się znad stołu i ruszył za ojcem. Przez chwilę stali mierząc się wzrokiem. Dwóch wysokich mężczyzn, bardziej do siebie podobnych pod względem fizycznego wyglądu, niż mogłaby to wskazywać różnica wieku między nimi, znalazło się na krawędzi otwartego konfliktu.

— Poczekaj — powiedział ponownie Jeff, tym razem spokojniejszym głosem, znacznie bardziej opanowanym. — Tato, nie ma sensu bawić się dalej w ciuciubabkę. Nigdy by cię nie usatysfakcjonowało samo wyjście na zewnątrz, sprawdzenie co się dzieje, a potem odlot stąd. Masz zamiar coś z tym zrobić. I jeżeli to prawda, chcę o tym wiedzieć, teraz.

Na chwilę zapadła cisza; potem Pete odwrócił się z powrotem do Jeffa, z zaciętą twarzą.

— Tak, to prawda — powiedział. — Nie muszę oglądać tego statku. Ja wiem, co się stało. I wiem, co muszę w tej sytuacji zrobić. To jest żywa inteligentna istota, która znalazła się w pułapce w tym kosmicznym czymś, tak samo jak moglibyśmy znaleźć się ty i ja. Mogę ją uwolnić, przy pomocy dwu naszych podnośników silnikowych. Gdybyś miał choćby elementarne pojęcie, co to znaczy kiedy ktoś cię zignoruje w takiej potrzebie, pomógłbyś mi. Jeżeli nie chcesz, to sam wyjdę z dwoma podnośnikami przez śluzę, a ty możesz sobie odpalić silniki i startować, i niech cię diabli.

Napięcie między dwoma potężnymi mężczyznami narastało, osiągnęło punkt przesilenia i opadło. Jeff wydał z siebie urywane westchnienie.

— W porządku — oznajmił, — jestem z tobą.

— Dobrze — powiedział starszy mężczyzna i słychać było jak w jego głos wstąpiło nowe życie. — Zakładaj na siebie skafander. Wyjaśnię ci plan działania, kiedy będziemy się ubierali.

— Kłopot naszego przyjaciela polega na tym, że przewrócił się na plecy. Widzę, że nie rozumiesz, Jeff. Posłuchaj, statek taki jak nasz, ląduje na brzuchu. Na całym kadłubie mamy rakiety nośne, do korygowania kąta lądowania. Ale statki nie zawsze działały w taki sposób. Kiedyś zazwyczaj siadały na ogonie. W miejscu lądowania takiego statku nie pozostaje bruzda, a tylko koliste wypalone miejsce, co by się tu zgadzało. Może któryś z jego mechanizmów źle zadziałał w ostatniej chwili. W każdym bądź razie, założę się, że jeśli ustawimy go z powrotem w pozycji wyprostowanej, dalej sam już da sobie radę. A więc, ty i ja wyjdziemy z

parą podnośników i zobaczymy czy nie uda nam się podnieść go i ustawić na miejscu.

Piach był głęboki i grząski. Wędrówka do drugiego statku była żmudna, zwłaszcza z ciężkimi podnośnikami, przyginającymi ich do ziemi. Dotarli do kadłuba obcego i zatrzymali się na chwilę dla nabrania tchu. Potem zamocowali magnetyczne przyssawki na poszyciu statku, w dwóch punktach po przeciwnych stronach kadłuba, mniej więcej w jednej czwartej jego długości od silników rakietowych.

Zakotwiczenie podnośników w miękkim piachu, było sporym problemem. W końcu uznali za konieczne wkopanie ich na jakieś trzy lub cztery stopy, tak by spoczywały na leżącej pod piaskiem warstwie skały. Następnie, kiedy przygotowania zostały zakończone, zajęli stanowiska przy każdym z podnośników i Pete krzyknął do Jeffa przez komunikator w hełmie.

— Wszystko gotowe? Uruchamiaj silnik podnośnika!

Jeff wyciągnął rękę i pstryknął przełącznikiem. Niewielki, mocny silnik zaczął wirować i podnośnik zaparł się mocniej o swoje skalne podłoże. Kiedy Jeff był już pewien, że się nie ześlizgnie, zostawił go i obszedł silniki, aby dołączyć do ojca.

Jego twarz była zupełnie szara.

— No, dobrze — z napięciem powiedział Pete. — Idzie do góry.

Dziób obcego statku powoli unosił się z piasku. Zatrząsł się lekko od jakiegoś ruchu we wnętrzu kadłuba.

— Tak — potwierdził Jeff. — Idzie do góry.

Jego słowa zabrzmiały głucho i ponuro. Pete odwrócił się, żeby na niego spojrzeć.

— Boisz się, synku? — zapytał.

Wargi Jeffa rozchyliły się, zamknęły i otworzyły ponownie.

— Wiesz jaka jest nasza sytuacja — stwierdził ponuro. — To, o czym mówiłeś wcześniej, słyszałem już od ludzi, ale nigdy od obcych. Większość z tych których znamy, najpierw strzela a dopiero potem mówi. Wiesz dobrze, że kiedy ten statek stanie na własnych nogach, znajdziemy się na jego łasce. Wystarczy odrzut jego rakiet, żeby nas zabić; i nie będzie czasu na powrót do *Dziewczyny*.

Obcy był już ustawiony pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Małe podnośniki stale się rozciągały, napierając swymi cienkimi, sztywnymi ramionami na kadłub obcego. Z podnoszonego statku osypywał się piasek.

— Tak, Jeff — przyznał Pete. — Wiem. Ale ważne jest nie to co zrobi on, lecz to co zrobimy my. Fakt, że mu pomogliśmy – czy nie możesz spojrzeć na to z tej strony, synku?

Jeff pokręcił głową w oszołomieniu.

— Nie wiem — stwierdził bezradnie. — Po prostu, nie wiem.

Statek stał już niemalże prosto. Nagle, z szybkością, która zaskoczyła obu mężczyzn, otrząsnął się z uchwytu podnośników, przez jakąś sekundę

odrobinę się kołysał, zanim spoczął bez ruchu z dziobem wskazującym prosto w niebo.

— I oto jest — oznajmił Pete, z nutą podniecenia w głosie.

Odsunęli się o parę jardów do tyłu, żeby znaleźć się poza zasięgiem odrzutu rakiet. Nagle ziemia zadrżała im pod nogami. Pete położył dłoń na ramieniu młodszego z mężczyzn.

— I oto jest — powtórzył szeptem.

Spod podstawy statku strzeliły gwałtownie płomienie. Rozgrzewał silniki. Powoli ogień wydostał się spod podstawy, buchnął na wszystkie strony i zaczął wznosić się coraz wyżej.

Jeff wzdrygnął się nagle w niekontrolowanym dreszczu. Jego głos, dobiegający do Pete'a ze słuchawek skafandra przesiąknięty był strachem.

— I co teraz? — zawołał. — Co on teraz zrobi?

Uchwyt Pete'a na jego ramieniu zacisnął się.

— Spokojnie, chłopcze.

Statek się wznosił. Leciał coraz wyżej i wyżej, aż skurczył się do rozmiarów małego palca człowieka, zmieniając się w malutką srebrną kreseczkę na tle czarnego nieba. Potem nieoczekiwanie zatrzymał się i zaczął zawracać.

Obracał się powoli, aż do chwili gdy jego tępy nos nie wskazywał prosto na nich. Ochrypły oddech Jeffa huczał głośnym echem w hełmie. *A teraz wróci do nas*, pomyślał i wszystkie mięśnie stężały mu w napięciu.

Upłynęła długa jak wieczność minuta, a obcy ciągle wisiał w miejscu. Potem raptownie wszedł w serię idiotycznych obrotów; wykręcał się, obracał i wirował wokół osi, pozostawiając za sobą poskręcany ognisty ślad wyrzucanych gazów rakietowych, przypominający na tle ciemnego nieba świecący ogon.

Następnie, równie nagle, jeszcze raz zawrócił, tak że jego dziób ustawił się przeciwnym do nich w kierunku; na moment zamigotał i zniknął.

Pete westchnął, głęboko, chrapliwie.

— Widziałeś to, chłopcze? — zawołał. — Widziałeś to?

— Widziałem — głos Jeffa przepełniało nowe poczucie respektu. — Teraz to rozumiem. Nie był pewien – nie wiedział, czy naprawdę próbujemy mu pomóc, aż do chwili kiedy pozwoliliśmy mu stąd odlecieć o własnych siłach. Dopiero wtedy wiedział, że jest wolny. Dlatego nie chciał odpowiadać wcześniej.

— Pewnie, Jeff, pewnie — powiedział starszy z mężczyzn z nutą tryumfu w głosie. — Ale to nie o to mi chodziło. Zauważyłeś te zawijasy, które kręcił lecąc w górze? Czy czegoś ci nie przypominały?

Na chwilę zapadła cisza, po której padły słowa, początkowo powoli, a potem coraz szybciej wylewając się z ust Jeffa.

— On zachowywał się jak szczeniak — powiedział, opornie pokonując zdziwienie tym faktem. — Jak szczeniak, goniący za własnym ogonem.

I nagle w oczach zapłonęło mu światło zrozumienia.

— Tato! — zawołał Jeff, odwracając się do swego ojca. — Tato! Wiesz, co sobie myślę? Wydaje mi się, że zyskaliśmy przyjaciela.

I dwóch mężczyzn stało tak, jeden obok drugiego, wpatrując się w czerń kosmosu w której zniknął pojazd o dziwnych kształtach. Czuli, że znajdował się w drodze do domu.

Mieli rację. I przy tym, bardzo mu się spieszyło.

Ponieważ miał ciekawą historię do opowiedzenia.

KONIEC